

ZENON MATUSZEWSKI
ALEKSANDRA KOEHLERA /JUN./ WSPOMNIENIA.

WSTĘP.

Aleksander Koehler /jun./ syn Aleksandra Bolesława Koehlera – właściciela zbąszyńskiej apteki „Pod orłem”, kiedy ukończył 70 lat zabrał się, jak sam pisze we wstępie do swego opracowania *„do spisania śladów naszego pochodzenia oraz okrucichów pamięci o ludziach naszych rodzin – przeważnie już nieżyjących”*. W tym opracowaniu – kronice *„Będzie mowa o czterech pniach naszych przodków, o rodzinach: Koehlerów, Kryzanów, Klarów, Żebrowskich i ich powiązaniach z innymi rodzinami”*. Pisząc we wstępie o trudnościach w gromadzeniu danych historycznych konkluduje: *„Nasze rodziny nie wyróżniają się niczym szczególnym na miarę odnotowań historycznych i musimy się zadowolić dokumentami dostępnymi i przekazami rodzinnymi”*. Pracę swoją realizował od stycznia 1994 r. do lutego 1995 r.

Natomiast jak wskazują zapisy zamieszczone na ostatniej stronie wspomnień ich autor kierował je przede wszystkim do swego wnuka w Nowym Jorku, prosząc, *„gdyby Zofia /córka – red./ uznała, że niniejsza próba uchwycenia dziejów rodzinnych powinna zostać uzupełniona – niech to uczyni”* oraz *„Gdyby życie naszego wnuka tak się potoczyło, że nie władałby w dostatecznym stopniu językiem polskim by móc zrozumieć pisaninę swego dziadka, proszę o zlecenie przetłumaczenia tej kroniki, na język, którym posługiwać się będzie Ole. [...] W przeciwnym razie, kronika ta stałaby się martwą literą. A nie taki był zamysł, który stanowił impuls do jej skreślenia”*.

Jak poinformowała mnie kuzynka Aleksandra /jun./ Danuta Pruss – Głowacka autor wspomnień żonaty był z Jadwigą Żebrowską ur. 12.01.1927 r., zm. pod koniec lat 90 XX w. Była lekarzem stomatologiem, zachorowała na Alzheimer. Aleksander /jun./ przez kilka lat bardzo troskliwie sam się nią opiekował z ogromnym poświęceniem i uznaniem całej rodziny. Córka ich Zofia mieszka z rodziną w Nowym Jorku.

Autor wspomnień latem 2004 r. odbył podróż pożegnalną z ukochanym Zbąszyniem, bo wiedział, że jest śmiertelnie chory. Zmarł 20 grudnia 2004 r. i pochowany został na cmentarzu parafialnym p.w. św. Trójcy w Będzinie.

Dzięki uprzejmości Pani Danuty Pruss – Głowackiej otrzymałem maszynopis opracowania Aleksandra Koehlera /jun./ w części dotyczącej rodziny Koehlerów, a więc z czasów zamieszkania w Zbąszyniu. Tekst, który otrzymałem publikujemy w oryginalnym brzmieniu i pierwotnej interpunkcji. Jednak dla chronologicznego ucytelnienia wspomnień dokonałem drobnych zmian układu tekstu . Na

wykorzystanie niniejszych materiałów wyraziła zgodę córka Aleksandra /jun./ - Zofia.

Dla właściwego rozróżnienia Aleksandra –syna od Aleksandra – ojca pozwoliłem sobie w tym wstępie przy imieniu syna dodać /jun/.

Zamieszczone fotografie pochodzą z archiwum rodzinnego autora wspomnień.

KOEHLEROWIE

*Jakiś zapach z młodości
Jakaś stara piosenka
I serce, głupie serce
Zaraz z żalu pęka*
Jan Izidor Sztaudynger

*Czy wspomnienia są czymś co się ma,
Czy czymś, co się straciło?*
Woody Allen z filmu „The other woman”

*Żal wyrzucać stare listy –
To są myśli i czyny ludzi,
Którzy odeszli*
Stanisława Żebrowska – Karwowska

***Urodziłem się dnia 19 października 1923 roku w Zbąszyniu w Wielkopolsce.
Moi rodzice to Aleksander Bolesław i Eleonora Józefina Zofia z.d. Klar
Koehlerowie.***

Moim dziadkiem po mieczu był Oskar Koehler, urodzony dnia 24 marca 1846 roku w Dąbiu. Dziadek Oskar był administratorem majątków ziemskich. Sam właścicielem ziemskim chyba nigdy nie był. Zmarł dnia 9 sierpnia 1922 roku w majątku Luszówko, którego kierownikiem był wówczas zięć dziadka Jan Feuer, będący mężem córki Oskara Bertę Heleny. Luszówko było majątkiem państwowym. Dziadek Oskar został pochowany na parafialnym cmentarzu rzymsko – katolickim we wsi Gruczno. [...]

Mój ojciec Aleksander Bolesław Koehler po ukończeniu szkoły powszechnej, odbył naukę w gimnazjum w Nakle n. Notecią w latach 1897 – 1903. W la-



Aleksander Bolesław Koehler (1879 -1945)



*Eleonora Koehler z d. Klar (1897 -1986)
z synem Aleksandrem (1923 -2004)
autorem wspomnień*

—
tach 1903 – 1907 odbywa obowiązkową praktykę przed studiami farmaceutycznymi w różnych aptekach: Apteka pod Łabędziem w Lesznie, Apteka pod Orłem w Raszkowie k. Ostrowa Wlkp., Apteka pod Czarnym Orłem w Bydgoszczy, Apteka w Nowej Rudzie na Dolnym Śl. Podczas odbywania praktyk farmaceutycznych, zdaje w dniu 20 września 1906 r. farmaceutyczny egzamin wstępny przed komisją rządową w Poznaniu. W dniu 22 października 1907 r. następuje immatrykulacja w Instytucie Farmaceutycznym Uniwersytetu Berlińskiego. Studia trwają do 1909 roku. Dnia 12 listopada 1909 r. Aleksander zdaje egzamin farmaceutyczny przed komisją rządową w Berlinie i zostaje zobowiązany do odbycia dwuletniego stażu jako pomocnik aptekarski w różnych aptekach. Wg ówczesnej nomenklatury naukowej jest KANDYDATEM FARMACJI. Staż odbywa w latach 1910 – 1912 w następujących aptekach (miejscowościach): Cottbus na Łużycach, Schwerin w Meklemburgii, Raszków k. Ostrowa Wlkp., Bydgoszcz.

W dniu 3 lutego 1912 roku Aleksander otrzymuje dyplom (t.zw. APROBACJA) ukończenia wyższych studiów farmaceutycznych. W odrodzonej Polsce dyplom ten upoważniał do używania tytułu magistra farmacji. Studia w Berlinie i okresy praktykanckie wspominał mój ojciec mile. W czasie Wojny Światowej 1914 –1918 pracuje przez pewien czas jako farmaceuta w lazarecie w Królewcu. W 1919 roku w wolnej już Polsce spisuje (12 grudnia) akt kupna Apteki pod Orłem w Zbąszyniu z opuszczającym Polskę poprzednim właścicielem Richardem Maschem. Akt kupna obejmuje również dom, w którym mieści się apteka (Rynek nr 5) oraz budynek sąsiedni (Rynek nr 4), do którego po pewnym czasie została przeniesiona apteka i w którym funkcjonuje ona do dnia

dzisiejszego. Cena kupna wg umowy wynosiła 290 000,- marek. Pieniądze na kupno apteki i domów otrzymał ojciec jako pożyczkę (kredyt) z banku poznańskiego z funduszu utworzonego specjalnie przez Państwo Polskie na wykupy własności z rąk niemieckich przez Polaków.

Akademickie wykształcenie mojego ojca finansowane było w części ze Stypendium im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu. Z tego stypendium korzystać mogli tylko Polacy. Był to instrument narodowo – społeczne działalności polskiego społeczeństwa Wielkopolski na rzecz zapewnienia trwania i rozwoju polskiej inteligencji w zaborze pruskim. Ojciec mój, podobnie jak i inni stypendyści, będąc już właścicielem apteki w Zbąszyniu, spłacał wyłożone przez Fundację Marcinkowskiego na jego studia pieniądze.

Dzieciństwo i lata młodości spędziłem bardzo szczęśliwie w domu rodzicielskim w Zbąszyniu, żyjąc w dobrobycie i rozsądnie wychowywany. Szkołę powszechną ukończyłem w moim mieście rodzinnym (6 klas) i w 1936 r. zdałem egzamin wstępny do Państwowego Gimnazjum i Liceum im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Wolsztynie. Ukończyłem w tej szkole 3 klasy z promocją do czwartej. Nowy rok szkolny, w którym rozpocząłbym naukę w 4 klasie, miał zacząć się w dniu 1 września 1939 roku. Jak wiadomo, nie rozpoczął się, bo w dniu tym o godzinie 4.45 wybuchła II Wojna Światowa i Niemcy zaatakowali Polskę niszcząc i niewoląc nasz kraj oraz naród. Nigdy już do Gimnazjum wolsztyńskiego nie wróciłem.

Wybuch wojny zakończy pewien etap mojego życia, życia moich rodziców, całego Narodu. Już nic nigdy potem nie było tak jak dawniej.

WOJNA

Okres kampanii wrześniowej przetrwaliśmy – rodzice i ja – w Sokolowie u stryjostwa Teodora i Bolesławy Koehlerów. Po przewaleniu się frontu powróciliśmy, jeszcze swoim samochodem, do Zbąszynia. Samochód natychmiast nam odebrano. Dom był zarekwirowany przez niemiecką żandarmerię i splądrowany, a cała prawie ludność polska wywieziona do obozu u podnóża Karkonoszy na Dolnym Śląsku. Wojskowy komendant miasta nakazał ojcu uruchomienie apteki dla potrzeb okupantów i powracającej z czasem wywiezionej ludności miasta. Po usunięciu się żandarmerii, wróciliśmy do naszego domu. W listopadzie 1939 roku apteka została oficjalnie przez władze okupacyjne skonfiskowana, a jej kierownikiem został przesiedleńca niemiecki z Rygi na Łotwie o nazwisku Tiede. Po przejściu przez niego innej apteki w Wielkopolsce, ojciec prowadził aptekę do końca wojny nie będąc jej właścicielem.

Na wiosnę 1940 roku wyjechałem do mojej babki Anny Klarowej do Wrocławia, by tam przeczekać wojnę. Dwukrotnie u schyłku 1939 r. rodzice i ja byliśmy umieszczeni na liście deportacyjnej do utworzonego z reszty ziem polskich t.zw. Generalnego Gubernatorstwa. Interwencja brata mojej matki Leona uchroniła nas od tej wywózki.

Podczas mojego pobytu we Wrocławiu w latach 1940 – 1945 poznałem wielu ciekawych ludzi, również miejscowych Polaków.

Jednym z nich był dr Franciszek Jankowski, Westfalek, językoznawca, członek przedwojennej korporacji polskich studentów uniwersytetu wrocławskiego „SILESIA SUPERIOR”, zrzeszającej głównie Polaków pochodzących z Górnego Śląska. Dr Jankowski, aktywny działacz polonijny we Wrocławiu, był w latach 30 torturowany przez hitlerowców. Był wiceprzewodniczącym Związku Polaków Akademików w Niemczech. W 1945 r. po wyzwoleniu Wrocławia został pełnomocnikiem Rządu R.P. ds. Oświaty na miasto Wrocław oraz dyrektorem I Gimnazjum i Liceum we Wrocławiu przy ul. ks. J. Poniatowskiego. W latach 50, rozczarowany ekscesami ubeckimi reżimu PR, wyjechał do rodzinnej Westfalii i podobno zmarł jako nauczyciel języków obcych w Egipcie. Smutny to los niejednego działacza polonijnego na emigracji, który nie potrafił zaadaptować się do warunków życia w tak często wymarzonej, wolnej ojczyźnie. Na dodatek Polska po 1945 roku przez 43 lata wolną nie była.

W czasie wojny we Wrocławiu, mieszkając u babci Anny przy ówczesnej Herder – Strasse 8 (dzisiejsza Grochowa – dom spłonął doszczętnie podczas oblężenia miasta w 1945 r.), nauczyłem się, obcego dla mnie dotąd, języka niemieckiego, uczyłem się dorywczo prywatnie innych przedmiotów i pracowałem jako laborant w aptece, której właścicielem był Viktor Froböss, bardzo porządny Niemiec i człowiek. Apteka ta mieściła się w budynku u zbiegu dzisiejszych ulic Damrota i Miarki. Istnieje ona do dnia dzisiejszego. Pracując od pół roku w tej aptece, poznałem pod koniec sierpnia 1944 r. Olgierda Niewodniczańskiego, rodem z Kowala na Wołyniu, wywiezionego wraz z matką po dramatycznych przeżyciach w pierwszym okresie Powstania Warszawskiego na roboty przymusowe właśnie do Wrocławia. Zaprzyjaźniliśmy się bardzo, a przeżycia 3 miesięcznego oblężenia Wrocławia przez Armię Czerwoną przyjaźń naszą ugruntowały. Olgierd, którego co dopiero poślubiona żona Rita zginęła w powstaniu, ukończył w Akademii Medycznej we Wrocławiu wydział medyczny. Ożeniwszy się powtórnie z Zofią Kemczyńską, osiadł w Bolesławcu na Dolnym Śląsku, zostając z czasem ordynatorem oddziału ginekologicznego i położniczego w tamtejszym szpitalu. Olgierd jest dobrym lekarzem o społecznikowskim zacięciu, inteligentnym, czytającym i ciekawym człowiekiem – obecnie już na emeryturze. Spotykamy się okazjnie by powspominać stare „breslauerskie” dzieje.

Podczas ostrzału artyleryjskiego południowych dzielnic Wrocławia, zostałem ranny (lewa łydka i rozsiane, niegroźne na szczęście, rany twarzy i lewego ramienia) w lutym 1945 r. Resztę oblężenia i czasu zagłady miasta przeżyłem w pomocniczym, prowizorycznym szpitalu przy placu katedralnym, urządzonym w gmachu ówczesnego i również dzisiejszego Wyższego Seminarium Duchownego, a ściślej mówiąc, w piwnicach tego ogromnego budynku. Był to szpital przeznaczony głównie dla rannych obcokrajowców, pozwożonych przez Niemców do niewolniczej pracy podczas wojny. Pacjentami byli Polacy, Francuzi i Włosi.

Zaprzyjaźniłem się z wieloma, że wspomnę tylko Francuzów: Alberta Le Coq, Raymonda Choquet, Włochów: Romolo Massa i kleryka z Neapolu o nazwisku Di Donato. Poznałem też leżącego na sąsiednim łóżku starszego ode mnie pana Kazimierza Czeczota ze Stołpców nad dawną polsko – sowiecką granicą. Pan Czeczot przeżył z wieloma przygodami rewolucję bolszewicką w latach 1917 – 198 na Ukrainie, z której pochodzi. Samm uciekł w 1940 roku spod okupacji sowieckiej ze Stołpców do Warszawy, aby przygotować przerzut swej żony i dzieci do strefy niemieckiej. Nie zdążył. Rodzinę NKWD wywiozło w głąb Związku Radzieckiego. Po potwornych przeżyciach wrócili po zakończeniu wojny do Polski. Wraz z ocalonym z oblężenia Kazimierzem zamieszkali we Włochach pod Warszawą.

Po zakończeniu wojny i oblężenia Wrocławia, które trwało prawie 3 miesiące, w maju 1945 roku, po podleczeniu ran, wyruszyłem w rodzinne strony. Spotkałem się z matką, od której dowiedziałem się o deportacji ojca do Rosji. Na początku 1946 roku sprowadziłem mamę do Wrocławia. Zamieszkaliśmy w „aptecznym” domu przy ul. Ruskiej 35. Na parterze, od strony ul. Mikołaja (dom był przechodni) mieściła się apteka, którą przejęła po Niemcach matka Olgierda Niewodniczańskiego, pani Halina Suchecka. Prowadziła aptekę aż do ukazania się dekretu o upaństwowieniu aptek w Polsce, tj. do 1950 r. Pracowałem w tej aptece od jesieni 1945 r. do końca lat czterdziestych.

STUDIA I PRACA

W latach 1947 – 1952 odbyłem na Uniwersytecie Wrocławskim studia prawnicze „uwieńczone” dyplomem magistra praw. (przed rozpoczęciem studiów prawniczych, zaliczyłem rok anglistyki).

Nie udało mi się uzyskać wpisu na listę aplikantów adwokackich i pracowałem po ukończeniu studiów w różnych instytucjach na różnych stanowiskach. Niektóre z nich były związane z kierunkiem odbytych studiów. Dwa lata przepracowałem we Wrocławskiej Wytwórni Filmów Fabularnych (1954 – 1955), gdzie będąc w sztabie kierownictwa produkcji przy realizacji 2 filmów: „IRENA DO DOMU” w reżyserii Jana Fethke i „CIEN” w reżyserii Jerzego Kawalerowicza, poznałem wielu popularnych i znanych w owym czasie aktorów. Wymienię kilkoro: Adolf Dymśa, Ludwik Sempoliński, Lidia Wysocka, Hanka Bielicka, Kazimierz Brusikiewicz, Zygmunt Kęstowicz, Jarema Stępowski, Ignacy Machowski, Barbara Kraftówna, pieśniarka Maria Koterbska i wielu, wielu innych.

W latach 1960 – 1979 pracowałem w służbach inwestycyjnych województwa wrocławskiego (budownictwo mieszkaniowe i towarzyszące). Niejedno osiedle mieszkaniowe w Oleśnicy, Oławie, Trzebnicy, Wołowie, Świdnicy i innych miastach Dolnego Śląska powstało niejako przy moim współudziale. W latach 1969 – 1979 byłem dyrektorem naczelnym Okręgowej Dyrekcji Rozbudowy Miast

i Osiedli Miejskich we Wrocławiu. Dyrekcja ta mieściła się w pięknym, zabytkowym budynku obecnego Urzędu Miejskiego przy Nowym Targu.

Pracę zawodową zakończyłem w lutym 1982 r. wychodząc na emeryturę ze Zjednoczenia Przemysłu Węgla Brunatnego we Wrocławiu, gdzie pracowałem ostatnie 2 lata jako naczelnik działu importu.

ZBĄSZYŃ

Chciałbym poświęcić nieco stronice opisom mojego miasta rodzinnego ZBĄSZYNIA i mego w nim życia.

Zbąszyń jest miasteczkiem położonym nad dużym (760 ha) Jeziorem Zbąszyńskim. Miasto okolone jest rzeką Obrą. Zbąszyń jest bardzo starą miejscowością. Prawa miejskie otrzymał w XIII wieku, był grodem kasztelańskim. W połowie XV wieku był ważnym ośrodkiem ruchu husyckiego w Polsce. W 1919 roku w okolicy Zbąszynia toczyły się ciężkie walki powstańców wielkopolskich przeciw Niemcom.

Z rozebranego w XIX wieku przez niemieckich właścicieli zamku kasztelańskiego, przetrwała do dziś w pięknym parku pozamkowym brama – baszta wjazdowa wkomponowana w zachowane wały obronne i fosę. W baszcie tej znalazła w latach 30 pomieszczenie siedziba harcerzy zbąszyńskich, tzw. HARCÓWKA.

Mieszkańcy Zbąszynia, zwłaszcza młodzież, byli świadomi, że mieszkają w historycznym i szacownym mieście, choć zabytków w sensie kultury materialnej zachowało się niewiele. Wszystkim podobał się zawsze nasz barokowy, biały kościół parafialny. W nim różne epitafia wskazywały na ludzi i zdarzenia z dawnych wieków.

Nad drzwiami prowadzącymi z prezbiterium do zakrystii, umieszczone są dwa owalne kolorowe portrety fundatorów kościoła Edwarda Garczyńskiego i jego żony Katarzyny z Radolińskich. Są to piękne malowidła w stylu epoki szlacheckiej. Szczególne wrażenie robi portret pani Garczyńskiej, ponieważ ukazuje ją bez lewej ręki, jakby amputowanej powyżej łokcia. Widocznie malarz był wierny temu co widział malując obraz, a pani Katarzyna nie protestowała.

Przez pewien czas, jako uczeń szkoły powszechnej, byłem ministrantem. Z całej ministrantury najmniej podobały mi się mszalne teksty łacińskie (wtedy odprawiano msze jeszcze po łacinie), które trzeba było wykuć na pamięć, nie rozumiejąc treści. Znacznie chętniej obsługiwałem t.zw. trybularz, to jest kadzielnice, podczas nabożeństw majowych lub październikowych – różańcowych. Dużą frajdę sprawiało bieganie wokół kościoła z taczkami – terkotkami zastępującymi podczas Wielkiego Postu milczące dzwony, np. na Anioł Pański w południe i o zmierzchu. Naszym szefem z absolutną władzą był kościelny, pan Konieczek, który posługiwał się unikalną gwarą wielkopolsko – zbąszyńską. Zapamiętałem, że kiedy ustalał który z ministrantów do której mszy ma służyć, pytał: „ftó szuży?”, co miało oznaczać: „kto służy?”. Ze zrozumieniem go nie mieliśmy zresztą żadnych problemów. Sami między sobą, często

posługiwaliśmy się ku zgrozie naszych rodziców i nauczycieli, podobnym narzeczem.

Ciekaw jestem, czy dzisiejsi zbąszynianie używają jakiejś gwary?

Oto próbki: klofa – kloc drewniany; wędzić – łowić ryby na wędkę; szpyncnąć – spojrzeć, zerknąć; śrup – stare konisko; świgać, śwignąć – rzucać, rzucić; putko – splawik u wędki; pota – żaba; babok – straszycło, zjawa; lerga – pies; klajduk – szczególnie robak na przynętę na ryby; spodeńki, badejki – kąpielówki; kista – skrzynia, paka; doma – do domu; wej! – patrzcie!; wejciego! – patrzcie na niego!; ajzol – kawałek metalu, pręt żelazny; kaupa – kępa; przyńdźcie zaś – przyjdźcie znowu, przyjdźcie potem, później; blaska – oczy; kluka – nos; fyrać – fruwać; gajor – gąsior (ptak) itd. itd.

Wielu wyrażen już nie pamiętam. No i ten zaśpiew wielkopolski! Nieźle to oddało MAZOWSZE (słynny Państwowy Zespół Pieśni i Tańca) w wielkopolskiej piosence pt. „Nie chce, nie chce – nie mogę jeste chora na noge!”

DOM RODZINNY

Urodziłem się w domu nr 5 przy Rynku, gdzie pierwotnie mieściła się apteka mojego ojca. Rodzice przenieśli się potem (wraz z apteką, nie wiem kiedy, nie pamiętam) do domu sąsiedniego nr 4. Był to dom ładniejszy i wygodniejszy. Obydwa były własnością moich rodziców. W „nowym” domu rosnem i wychowywałem się do 16 roku życia bez przerwy. Potem rodzice (w 940 r.) wysłali mnie do babki Anny do Wrocławia, abym zniknął z oczu okupującym Polskę Niemcom.

Parter domu zajmowała apteka z przyległymi pomieszczeniami służącymi prowadzeniu apteki, w tym tzw. kantor, to jest biuro mojego ojca. Stało w tym kantorku biurko ojca, nad którym wisiały sporych rozmiarów powiększone fotografie dziadka Oskara i babci Teodozji. Dalej, stał stół kryty ceratą, jakaś przepastna, pełna superciekawych przedmiotów kredenso – szafka oraz oszklona szafka z różnymi flakonikami aptekarskimi, kolbami i próbkami. Na tej szafce stała w oszklonej witrynie piękna waga analityczna. Widać to dobrze na zdjęciu pt. „Ryczący Oleś” z 1925 r. Mebelki przy mniejszym stoliku pomiędzy oknami były z wikliny, co też na tym zdjęciu widać. W kącie koło wysokiego do samego sufitu pieca, była prycza dla psa pana domu. Kolejno były to: ukochany Neron i ostatni Rolf. Obydwa były wyżłami, towarzyszami Aleksandra podczas polowań. Bo był Aleksander myśliwym wytrwałym i zajadłym. Były to bardzo mądre i szlachetne psy. Na tej pryczy polegiwały w ciągu dnia (wyjąwszy swobodne wycieczki w pobliżu domu i Rynku) i wraz z panem po zamknięciu apteki (godz. 19) przenosiły się na piętro do mieszkania, gdzie miały prawo spać przez całą noc na miękkim dywanie, w gabinecie. Na to kantorkowe legowisko wciskał się wścibski i rozpuszczony jamnik babci Eli – Pucek. Prawowici lokatorzy pryczy znosili to z heroizmem i spokojem, ale i niechęcią. Pucek posuwał się niekiedy do tego, że wlaził na śpiącego Nerona i leżał na nim, bo w ten sposób było mu ciepło od spodu. Neron tolerował te katusze i nie ruszał się, aż Pucek się wydrzemie i

łaskawie zlezie z niego. Toczył tylko rozżalonym wzrokiem po obecnych w kantorku, dając do zrozumienia, do czego to w psim świecie dochodzi! Rolf nie dopuszczał do takiego spoufalenia i wszelkie zakusy rozpaskudzonego przez Nerona Pucka ucinął krótkim, ale zdecydowanym warknięciem.

Psy były zawsze nieodłącznym elementem naszego domu i życia rodzinnego. Wokół nich i z nimi działo się wiele uciechliwych spraw, o których by może warto osobno opowiedzieć. (Np. słynne złodziejskie wyprawy Pucka po jajka w kurniku wielebnego księdza dziekana Płotki, zbąszyńskiego proboszcza i przyjaciela moich rodziców!).

Na piętrze był następujący rozkład pomieszczeń: od frontu, tj. nad Rynkiem, były 2 pokoje – sypialnia i tzw. pokój męski. Pokój męski to po prostu gabinet z szafą biblioteczną, fotelami klubowymi, kanapą i okrągłym, średniej wielkości stołem. Było tam też biurko z kałamarzem i przyborami do pisania. Na biurku stało małe popiersie Napoleona. Stało w gabinecie również przedziwnej konstrukcji tzw. krzesło gdańskie. Był to mebel z drewna, bardzo solidnej i przemyślanej konstrukcji. Coś w rodzaju niskiego, głębokiego fotela do pólżenia, w którym można było wypoczywać, z ruchomym, odchylanym oparciem i poręczami z tralkami. Na poręczach umieszczone były małe, mosiężne popielniczki, obciążone 2 ozdobnymi paseczkami z wszytymi płytkami ołowianymi. Te popielniczki były w latach 30 bardzo modne. Najlepsze, że nie pamiętam, aby ktoś kiedykolwiek w tym siedział, a raczej leżał. Musiał to być jakiś meblowy szlagier tamtych lat!

Na ścianach gabinetu wisiały dwa portrety: pastel przedstawiający babcię Elę i olej z podobizną dziadka Aleksandra pędzla (obydwa) malarza Durzyńskiego, żyjącego wtedy stale w Chicago, a pracującego „gościnnie” w Polsce. Pochodził on z podzbąszyńskiej wsi Przyprostynia. Obydwa te portrety uchowały się, są w naszym posiadaniu. Portret babci Eleonory odziedziczyła już Zosia wraz z mieszkaniem babci przy ul. Sudeckiej 111b we Wrocławiu.

Nad stolikiem z radiem wisiał nieduży obraz olejny Wojciecha lub Jerzego Kossaka, przedstawiający ułana przy koniu w rozmowie z jakąś hożą wiejską dziewczyną. Stało w tym pokoju też czarne pianino, na którym zaczynałem moje flirty z jazzem. Bardzo rzadko grywała moja mama, a tato raz w roku: w Wigilię Bożego Narodzenia grał kolędy i to bardzo melodyjnie, poprawnie z dobrymi akordami. Zdumiewało mnie to zawsze! Musiał Aleksander senior mieć bardzo dobry słuch. Dlaczego grywał tak rzadko?

A propos wigilia. Między innymi na stół wigilijny wjeżdżały oczywiście ryby. Karp smażony i sandacz z wody, wszystko to z naszego przeobfitego we wszystkie gatunki ryb jeziora. Rokrocznie, z okazji podawania ryb wigilijnych, tata wygłaszał ku lekkiemu zgorszeniu mamy, a mojej frajdzie, następującą maksymę: „Karp jest najlepszy od głowy, szczupak od ogona, a panna od środka”.

Od strony podwórza usytuowane były następujące pokoje i pomieszczenia: „biały pokój”, to znaczy salonik wyposażony w lekkie, gustowne białe meble. Nikt tam z domowników nigdy nie przebywał. Po wyekspediowaniu mnie pewnego

dnia z rodzicielskiej sypialni, tapczan w białym pokoju był moim miejscem spania. Kiedy rodzice urządzali na przykład imieniny, wtedy salonik służył za coś w rodzaju palarni. (Ani mama ani tata nie palili. Ojciec czasem do dobrego burgunda zapalał cieniutkie, ręcznie kręcone cygarko, które nazywał cigarillo. Pakowane były te cygara w piękne pudełka z egzotycznego drewna).

Następnym pomieszczeniem od podwórza, tj. od wschodu, była jadalnia, czyli jak mówi Jagódka, moja miła żona, pokój stołowy. Meble ciemne, solidne, okrągły stół rozsuwany na 12 osób. Tam jadałliśmy tylko w ciepłych porach roku. A działa się tak dlatego, że cały dom był ogrzewany piecami kaflowymi i nie warto było ogrzewać dużej jadalni (i pokoju białego zresztą też) dla 3 posiłków dziennie. W porach zimowych jadałliśmy w gabinecie. W jadalni też wisiały jakieś obrazy. Nie pamiętam jakie. A propos piece kaflowe: wszystkie były wysokie do sufitu, bardzo elegancko skonstruowane z ozdobnych, wytłaczanych kafli z gzymsikami, na których stały bibelociki i figurki. Zimą na parapecie piecowym stał ów słynny wąż na patyku, pomysłu dra Gorgolewskiego „Daka”, wielkiego magika i ulubieńca dzieci. Unoszące się ciepłe powietrze z nad nagrzanego gzymsiku, na którym stał postumencik z tekturowym węzem, kręciło nim bezustannie i bezszelestnie. Coś fascynującego dla dzieci i nie tylko dla dzieci. Coś w rodzaju perpetuum mobile.

Piece miały dobry ciąg, czyli tzw. „cug” i służyły latem za chłodnię i przewiewną przechowalnię dla pewnych gatunków suchych wędlin, owiniętych w solidny papier pergaminowy.

Były to jakieś spiżarnio – kuchenne tajemnice babci Eli i naszej kucharki Joasi, bo o tych kielbasach w piecu męska część domowników nic nie wiedziała, aż do chwili kiedy.....

No właśnie: przed którymś z wyjazdów naszej rodziny samochodem do Sokołowa, (majątek Teodora Pawła Koehlera stryja autora wspomnień leżący koło Wrześni – red.) w tych ostatnich, często pustych minutach przed wyjściem z domu, kiedy to jeszcze jakieś drobiazgi mają zostać zadysponowane pozostającym domownikom, w takiej to pustej chwili, kiedy coś się tam machinalnie robi, aby zabić czas do wyjścia z domu, tato Aleksander postanowił szybko i jeszcze opróżnić kosz na papiery spod biurka i spalić szpargały właśnie w piecu. Co Też uczynił! Aliści po krótkiej chwili, kiedy papierzyska się zajęły, coś zaczęło w piecu skwierczeć i rozeszły się smakowite, wędliniarskie zapachy. Niech zamilczę co się dalej działo. W każdym razie Joasia w lamentach, mama i ja w ataku śmiechu, a tato w paroksyźmie apoplektycznej złości (czuł się jakoś winny), bo: „CÓŻ TO ZA KRETYNIZM PRZECHOWYWAĆ WĘDLINY W PIECU!!!”.

Tak narodziła się kolportowana później chętnie w rodzinie smakowita historyjka, jak to Łoska na wyjeździe kielbasy spaliła!

Za stołowym ku kuchni był mój pokoik (przechodni) z szafą na moje klamoty i stołem pod oknami, przy którym odrabiałem lekcje i do którego to pokoiku w 1938 r. rodzice pozwolili mi przetransportować z białego saloniku szafkowy gramofon z mnóstwem płyt z aktualnymi przebojami. Z mojego pokoju

było wejście do wąziutkiej łazienki, wykrojonej zresztą z tego pokoju, oraz do kuchni dość dużej, wyposażonej w kuchenny piec żelazny, tzw. westfalkę i kuchenką gazową. W tej kuchni królowała Joasia Lehmann rodem z Grodziska Wlkp., szczupła, niemłoda już niewiasta, którą bardzo kochałem – z wzajemnością chyba. Pamiętam ją od najwcześniejszego dzieciństwa i nie zapomnę jej bajek, opowiadań i piosenek wielkopolskich, których słuchałem z zapartym tchem, siedząc o zmroku w kuchni, kiedy ogień buzował w kuchennym piecu. Jedną z tych piosenek była na przykład taka:

*„Tańcował Kuba w sieni
Panny mu czapkę wzieni
Nie kłopotaj się Kuba
Znajdzie się twoja zguba”*

Joasia miała syna, któremu zapewniła wychowanie i wykształcenie. Syn ten ukończył seminarium nauczycielskie i w 1939 r. jako powołany na wojnę, stracił w bojach ramię. Nie wiem nic bliższego o tym synu Joasi. Joasia zmarła w czasie wojny na wylew do mózgu podczas leczenia w szpitalu w Nowym Tomysłu. Odwiedziłem ją w tym szpitalu na krótko przed śmiercią. Nie wiem dlaczego nie byłem na jej pogrzebie. Sądzę, że spoczęła na cmentarzu w rodzinnym Grodzisku. Żał mi, że tak jakoś jej odejście odbyło się poza mną. Żyłem już wtedy we Wrocławiu. Nawet nie wiem, w którym to było roku. Przykro.

Pokojówką i w moich dziecięcych latach nianią była Marysia Grzeško, rodem z podzbąszyńskiej Przyprostyni. Jako małe dziecko nazywałem ją „Miniak”. Ten Miniak dziwnymi kolejami losu, miał po wielu latach zostać ulubioną osobą naszej córki Zosi we Wrocławiu. Marynia po wojnie przybyła ze Zbąszynia z babcią Elą do Wrocławia. Została pracownicą Apteki OO. Bonifratrów, żyła i mieszkała razem z babcią Elą w mieszkaniu przy ul. Ruskiej 35. Marynia zachorowała ciężko w latach 60 i po nieudanym pobycie sanatoryjnym w Szczawnie Zdroju, przywieziona karetką do Wrocławia, zmarła na zawał serca w szpitalu im. Rydygiera.

Joasia i Marynia mieszkały na drugim piętrze naszego zbąszyńskiego domu, gdzie mieściły się pokoje gościnne i przestronny, pełen tajemniczych komórek strych. Chętnie tam przebywałem i często wylazilem na płaski i obszerny dach. Dach był zawsze i jest do dziś dla mnie miejscem urzekającym, najbliższym nieba i chmur, skąd jakby w oderwaniu od ziemi i jej spraw, można popatrzeć na świat z zupełnie innej niż zwykła „przyziemna” perspektywy.

W aptece zatrudnione były różne, w różnych okresach osoby, z którymi się oczywiście stykałem i spośród których pamiętam: laborantów i kierowników zarazem: Leona Lehmana i Stanisława Kańdułę. Byłem z nimi zaprzyjaźniony i pozwalali kręcić mi się po ich „królestwie”, to jest po garażu i przyległych do niego: warsztacie, magazynie butelek aptecznych oraz drewniku (drewutni). Pomieszczenia te zgrupowane były na tyłach podwórza od strony wąskiej uliczki, dzielącej posesję wschodniej pierzei Rynku od gmachów sądu i magistratu m.

Zbąszynia. Również od budynku więzienia miejskiego, na którego dziedzińcu snuł się od czasu do czasu jakiś niegroźny aresztant wzgl. Więzień. Mieliśmy z okien kuchennych wgląd za niewysoki mur więzienny. Pensjonariuszami tego niecieężkiego kryminału bywali najczęściej ludzie przyłapani na próbach nielegalnego przekroczenia granicy lub szmuglu. Raz siedział nawet pewien Chińczyk, któremu z okien kuchni kiwały Marynia i Joasia. Po zakończonej, nie długiej odsiadce, przyszedł się pożegnać przed wyjazdem ze Zbąszynia. Takie to były sensacyjki małego, przygranicznego miasteczka. Naczelnikiem więzienia był pan Kubzdyl, wielki zwolennik i kibic zbąszyńskiej drużyny piłkarskiej klasy C, KS. „OBRA”. Na meczach stawał zawsze za bramką naszej drużyny i głośno przeżywał wydarzenia toczące się na boisku. Pamiętam, że się jąkał.

Zastępcą ojca przez wiele lat był Tadeusz Gawęcki – z tych kobylogórskich – jakoś tam przez Kryzanów skoligacony z moją mamą. Tadeusz, skomplikowanymi drogami powojennymi, też wylądował we Wrocławiu jako zawodowy oficer – farmaceuta w Okręgowym Szpitalu Wojskowym. Później przeniósł się do Poznania, gdzie doczekał się emerytury w stopniu pułkownika i gdzie zmarł w podeszłym wieku. Utrzymywaliśmy z nim kontakty, również wtedy kiedy wyjechał do Poznania. Zawsze mile wspominał lata spędzone w naszym domu w Zbąszyniu.

Przedwojenny Zbąszyń nie posiadał sieci energii elektrycznej. Istniała gazownia i instalacje gazowe były praktycznie we wszystkich domach. Oświetlenie było więc gazowe. Po mieście chodził o zmroku specjalny pracownik gazowni i zapalał długą żerdzią latarnie, które potem o świcie wygaszał. W naszym domu wisiały ozdobne lampy. W lampach osadzone były tzw. „pończoszki” lub „koszulki”, które umieszczone nad wylotem wydobywającego się gazu i zapalone żarzyły się jasnym, trupiobladym światłem. Siła światła była jednak dość duża i można było wykonywać wszystkie czynności domowe i czytać bez przeszkód. W Sokołowie na przykład było oświetlenie naftowe i przygotowanie, czyszczenie i wnoszenie lamp naftowych na pokoje było całym ceremoniałem. Oświetlenie naftowe było bardzo nastrojowe i przytulniejsze niż gazowe. W naszych domach, jako oświetlenie podręczne, stały na nocnych szafkach świece w bardzo ładnych niekiedy świecznikach.

W podwórzu „mieszkała” w chlewikach przeróżna gadzina. Do mojego ojca, nie tylko dobrego myśliwego, ale i miłośnika zwierząt, różni ludzie, głównie chłopci okolicznych wsi, przynosili przeróżne okaleczone często lub porzucone przez swe społeczności zwierzęta i ptaki. Pamiętam jastrzębia z przetrąconym skrzydłem, jakąś wronę koślawą. Wreszcie przyniesiono kiedyś małą, porzuconą w lesie przez matkę sarenkę. Ojciec nadał jej imię Wandzia. Wandzia się udomowiła, urosła i zestarzała na naszym podwórku. Zawieziona kiedyś, kiedy była jeszcze młoda, do lasu na wolność, nie chciała się od ojca oddalić i została przywieziona do domu, na jej podwórko. Łaziło to całe zwierzęce bractwo (był i czasowo indor zaczepny i gąsior syczący) za ojcem i domagało się odpowiednich smakołyków i względów. Sarna była niekwestionowanym szefem podwórka i

nawet psy respektowały ten układ i nigdy nie uczyniły jej nic złego. Żarło to towarzystwo często ze wspólnych misek. Wandzia przepadła gdzieś po wejściu Niemców do Zbąszynia w 1939 r. w czasie naszej nieobecności podczas ucieczki przed nimi.

W podwórzu były też gołębie, z którymi zaprzyjaźniony był Aleksander, mój ojciec. Siadały mu na ramiona, a on je karmił. W wąskim przedpokoju prowadzącym z gabinetu na balkon i klatkę schodową, w ostatnim czasie przed wybuchem wojny, ojciec ustawił ogromną klatkę i założył hodowlę kanarków. Dochował się ich około 40 sztuk, różnych ras, w tym jakichś nadzwyczajnych samczyków śpiewających „Harceńskich”. Nic się na tym nie znałem. Wiewiórkę też przez pewien czas tato chował. Była rozbisurmaniona i panoszyła się po całym mieszkaniu. Chroniła się za pazuchę ojca, nie przymierzając, jak Pucek do Nerona.

Tak to mniej więcej było w tym moim zbąszyńskim domu, w którym spędziłem dobre dzieciństwo i lata dojrzewania.

ZBĄSZYŃSKIE CISZE

Głęboko w pamięć zapadła mi cisza nocna małego miasteczka. Inna latem – inna zimą. Latem w ciszy nocnej niosły się żabie koncerty niezliczonych gromad tych płazów, zamieszkujących liczne mokradła w samym mieście jak i na jego obrzeżach. Latały też całe chmary małych nietoperzy, wydając charakterystyczne cykania. Sowy pohukiwały z kościelnych wież, a z dala dobiegały turkoty przejeżdżających pociągów. Te pociągi fascynowały nas bardzo, bo był przecież Zbąszyń ważną stacją graniczną na szlaku Paryż – Berlin – Warszawa. Byliśmy świadomi tego, iż przez nasze miasteczko przejeżdżały różne znamienite osoby życia publicznego ówczesnej Europy. W 1939 r. na wiosnę witałem kwiatami przy pociągu Jana Kiepurę, kiedy zjeżdżał do ojczyzny, aby dać szereg koncertów. Wystąpił też w specjalnym przedstawieniu opery „Carmen” w operze poznańskiej. Rodzice zabrali mnie wtedy do Poznania. Byłem pierwszy raz w życiu w operze. Zrobiło to na mnie duże wrażenie. Pamiętam też, że Mistrz Kiepura śpiewał swą partię Don Josego w języku francuskim, a jego partnerka Carmen (Ewa Bandrowska- Turska) i cała reszta zespołu po polsku. Pamiętam, że podczas całego spektaklu szalała burza z piorunami.

Po zakończeniu spektaklu Kiepura na prośbę widzów, nie rozcharakteryzowany, długo i chętnie śpiewał pieśni i piosenki ze znanego na całym świecie repertuaru.

Zimowa cisza była inna. Słowo daję, że w tamtych latach zimy były „porządne”, z mrozami i śniegami jak Pan Bóg przykazał! Była więc ta nocna cisza zimowa taka, jak byś siedział w wacie lub puchu. Wszystkie odgłosy wytłumione. Kiedy mrozy ostro ścisnęły, słyszało się trzaskanie i huk lodu na jeziorze, a dom był pełen przedziwnej muzyki i grania. Wytłumaczę o co chodzi.

Przewody telefoniczne w owych czasach zawieszono na słupach, najczęściej wzdłuż szos i torów kolejowych. W miastach i miasteczkach, ze

względu na zabudowę, linie trzeba było wynosić na dachy najwyższych w danej miejscowości budynków. Takim budynkiem był nasz dom. Na jego dachu umieszczono więc metalowy maszt, który podtrzymywał dużą ilość drutów telefonicznych, umocowanych na porcelanowych izolatorach. Otóż podczas mrozów druty te napinały się pod wpływem kurczenia się niczym naciągane struny gitary i potrącane przez wiatr zaczynały grać i brzęczeć na różne głosy. Dach budynku spełniał rolę wierzchu (deki) takiej gitary, a strych reagował jak pudło rezonansowe. Dom wypełniało granie drutów telefonicznych. Niezapomniane wrażenie! Jagódka wie dobrze o co chodzi, bo na jej rodzinnym domu w Będzinie przy ul. Promyka też taki maszt był zainstalowany.

Skablowanie przewodów telefonicznych zlikwidowało to efektowne zjawisko akustyczne. A centrala telefoniczna w Zbąszyniu przed wojną była ręczna. Podejmowało się z widełek słuchawkę, kręciło korbką zgłaszała się panienka z centrali lokalnej, do której mówiło się z jakim numerem chcemy być połączeni. Panienka szczebiotała „łączę” i sprawa była załatwiona. Nasz numer telefonu był 30, a wujostwa Kryzanów 1.

Wracając do tej niezapomnianej zimowej ciszy dodam jeszcze, że co godzinę rozlegał się tęskny głos piszczałki stróża nocnego, który pilnując okolic kościoła i plebanii oznajmiał w ten sposób, że czuwa. Czulem się wtedy w ciepłym łóżku i rodzinnym domu bezpieczny, a ten nocny świat na zewnątrz był dziwny i niepokojący.

Coś z tej atmosfery i dziecięcych wspomnień przenosiłem po wielu latach w opowieściach na dobranoc, snutych przy łóżeczku zasypiającej naszej córeczki Zosi. Chętnie tych historyjek słuchała i może je jeszcze pamięta. Najbardziej intrygowała ją opowieść o prastarych księgach magicznych spoczywających w „złoty” kulach na szczycie zbąszyńskich wież kościelnych. Czy do takich legend nadają się wieże World Trade Center na Manhattanie?

WYJEC NERON

Można powiedzieć, że w pewnym czasie zaistniał wokół nas problem: Kościół a nasze psy! Neron, ten wytworny i zrównoważony wyżeł miał zdaniem bigotek, mieszkających wokół Rynku, fatalną rysę na swym nieskazitelnym charakterze. Był w jakiś sposób negatywnie uczulony na dźwięk dzwonów kościelnych.

Jak się już rzekło, każdego dnia o 12 w południe sygnaturka z wieży kościelnej wydzwaniała przez parę minut Anioł Pański. Nie upilnowany Neron wybiegał wtedy truchtem na środek rynku i przysiadłszy na zadzie wyl przeraźliwie ku wieży kościoła, z której dobiegał dźwięk dzwonu. Miało to posmak skandalu i trąciło antyklerykalizmem! Kto żyw w domu biegł, aby tego kochanego wyjca zabrać z rynku. Myślę, że dobrotliwy psi bóg wybaczy mu to, kiedy Neron dotarł już do swej wiecznej krainy psiej szczęśliwości. Pochowany został w dużej, przyzwoitej, drewnianej, wymoszczonej jedliną skrzyni, pod lasem na terenach łowieckich wsi Chrośnica pod Zbąszyniem, gdzie przez tyle lat

pracował jako wytrawny wyżeł na polowaniach ze swym panem. Neron uwielbiał figurować na fotografiach rodzinnych.

Neron istnieje w mej pamięci też „od zawsze”. Tak się zdarzyło, że dobiegając kresu swego długiego żywota, upadł i zdechł u moich stóp. Wstrząsnęło to mną bardzo.

SZKOŁA

Szkoła powszechna w Zbąszyniu, w której uczyłem się przez sześć lat, rozmieszczona była w trzech, oddalonych od siebie budynkach. Jeden przy rynku – tam zacząłem naukę i ukończyłem cztery klasy. Do klasy piątej chodziłem w budynku przy ul. Strzeleckiej (później J. Piłsudskiego, obecnie Powstańców Wielkopolskich). Naukę w ostatniej 6 klasie pobierałem w gmachu przy pl. Wolności, gdzie też urzędowało kierownictwo wszystkich trzech oddziałów. Dość ostre rządy sprawował kierownik pan Wojciechowski, legionista i fanatyczny zwolennik Marszałka.

Z nazwisk moich nauczycieli utrwaliły mi się następujące: pan Jan Kowalski, pierwszy wychowawca, pan Jan Trocholepszy, Polak z Babimojszczyzny, która po 1918 r. pozostała w granicach Rzeszy Niemieckiej. Był bardzo przez uczniów lubiany. Zginął jako oficer rezerwy w Kampanii Wrześniowej. Dalej: pani Janiakowa od śpiewu, pan Rewers, pan Żołądkiewicz, który lubił targać za uszy, pan Liczbański od chóru szkolnego, wreszcie panna Śmidodzianka, rodowita zbąszynianka, od matematyki, fizyki oraz przyrody. Pani Śmidodzianka przygotowywała w 6 klasie grupę uczniów do egzaminu wstępnego do klasy pierwszej gimnazjalnej. Wszyscy zdaliśmy ten egzamin. Było to latem 1936 roku. Panna Śmidodzianka wraz ze starymi rodzicami uciekając w 1939 r. przed Niemcami, znalazła się gdzieś daleko na Wołyniu, gdzie aresztowani przez Sowietów wywiezieni zostali do łagru syberyjskiego. Rodzice naszej nauczycielki tam umarli. To są takie tragiczne i niesamowite paradoksy dziejów ludzkich: gdzie cichy, zachodnio – rubieżny Zbąszyń, a gdzie azjatyckie łagry?

Od 1 września 1936 roku zacząłem chodzić, a właściwie dojeżdżać do Państwowego Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącego im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Wolsztynie. Wolsztyn, miasto wtedy powiatowe, leży w odległości ok. 20 kilometrów od Zbąszynia.

Wszyscy uczniowie gimnazjalni ze Zbąszynia dojeżdżali codziennie do Wolsztyna specjalnym pociągiem szkolnym. Pociąg ten czekał na bocznicę stacji kolejowej w Wolsztynie, by po zakończeniu lekcji zabrać do domu. Był to rzeczywiście pociąg szkolny „nasz” pociąg, bo nieliczni „cywilni” pasażerowie raczej unikali podróżowania tym pociągiem. Szczególnie w drodze powrotnej z Wolsztyna. Lepiej przemilczę do jakich brewerii byliśmy zdolni. Bez przesady można powiedzieć, że pociąg ten był niezwykle gwarny, a uczniowscy pasażerowie ruchliwi, choć każdy z nas wsiadał do „swojego” przedziału i miał do swego, stale tego samego miejsca prawo. Nie wiem na jakiej zasadzie organizacyjnej tak się działo, ale funkcjonowało to i obowiązywało. Konduktorzy,

często ojcowie podróżujących tym pociągami ich dzieci, upominali nas niekiedy, lecz raczej dobrotliwie. Ileż to pokoleń zbąszyniaków dowozili do tej wolsztyńskiej budy!

Gmach gimnazjum był okazały, wybudowany jeszcze za pruskich czasów jako seminarium nauczycielskie. Była tam piękna aula z organami na balkonie, a klasy były przestronne i widne. Gabinety tematyczne doskonale wyposażone, sala gimnastyczna świetna i duże boisko szkolne. Wszystko to istnieje do dziś. Zarówno szkoła powszechna jak i gimnazjum było koedukacyjne.

W Polsce przedwojennej młodzież gimnazjalna i licealna nosiła granatowe mundurki. Chłopcy dwurzędowe marynarki ze świecącymi metalowymi guzikami i tarczami z numerem szkoły na lewym ramieniu. Dziewczęta nosiły odpowiednio białe bluzeczki i na to granatowe bluzy z takimi samymi tarczami. Wolsztyńskie gimnazjum i liceum (4 klasy gimnazjalne i 2 licealne) miało numer 493.

Koleżanki na głowie nosiły granatowe berety z wypustką, a chłopcy czapki maciejówki z lakierowanymi daszkami i wypustkami. Na beretach i czapkach przypięte były metalowe emblematy z otwartą książką i kagankiem oświaty. Na temat tego symbolicznego emblematu krążyły pokoleniowe dowcipy. Za moich czasów żartowaliśmy, że to „Wolne Żarty” (taka zakazana dla uczniów gazetka z pikantnymi dowcipami) i dymiące naczynie z grzaniem winem. Klasy gimnazjalne miały wypustki na rękawach i czapkach oraz lampasiki na spodniach jak też tarcze na rękawach koloru niebieskiego, a licealiści czerwone. Byliśmy z naszych mundurków bardzo dumni i nikomu nie przyszło by do głowy wstydzić się ich noszenia. To było tak, jak barwy czy ubiory klubowe na zachodzie Europy, choć zwyczaj umundurowania uczniów w Polsce wywodzi się z byłych zaborców austriackiego i rosyjskiego. Mundurek zobowiązywał do pewnego stylu zachowania i naprawdę nie było to złe.

Chodziłem do klasy z łaciną i językiem francuskim. Były to klasy „A”. Klasy „B” miały ten sam program nauczania, tyle że językiem obcym był niemiecki. Każdy uczeń mógł sobie przy rozpoczęciu nauki wybrać klasę i jego decyzję respektowano. Później zmiana języka nie była możliwa. Chyba chodziło o stabilizację liczby uczniów w poszczególnych klasach. Między nami mówiąc, to tak samo mało chciało nam się uczyć języka francuskiego jak i niemieckiego. Ot, młodzieńcza głupota!

Nasze gimnazjum i liceum miało kierunek ogólnokształcący. Wolsztyńskie gimnazjum i liceum należało do przodujących w Wielkopolsce.

Nad profesorami nie będę się rozwodził. Byli tacy i siacy, jak to w każdej szkole. Poziom ich jako pedagogów był wysoki. Jednych lubiliśmy, drugich poważaliśmy, a innych niestety lekceważyliśmy. Tak to już bywa. Wymienię kilka nazwisk naszych profesorów, niech po nich pamięć pozostanie: Olga Haponowicz – biologia i czasowo geografia. Mówiła z przemiłym kresowym akcentem. Delikatna; Leon Charoński – wychowanie fizyczne. Lubiany przystojniak; Karol Jabłoński – polonista, senior wśród profesorów, elegant; Tadeusz Janiga – zajęcia praktyczne, przyjacielski; Luba Marszałikówna –

geografia, niska szatynka, dość ostro umalowana; Irena Bykowska – język francuski, opanowana, ubierała się elegancko. Jej siostra wyszła za Murzyna. W naszych oczach część tej (wówczas) sensacji splotowała i na nią; Irena Kwiatkowska – germanistka, typ kobiety sportowej (z wyglądu); Ludwik Krajewski – romanista i opiekun naszej klasy II a. Łacinnik. Wymagający i ironiczny. Baliśmy się go; Franciszek Głębocki – łacinnik. Schorowany śledziennik, dziwak; Antoni Pospieszalski – polonista w III kl. (w czasie wojny współpracownik BBC w Londynie). Był bardzo dynamiczny. Nazywaliśmy go „Rozpędek”; Wacław Tatarkiewicz – fizyka, chemia. Dobroduszny, obarczony liczną rodziną, bezbronny wobec rozszuchwienia uczniów safandula. Na pewno krzywdziliśmy go; prof. Koźluk – matematyk. Ukraińiec przeniesiony chyba z powodów politycznych ze Wschodniej Małopolski do poznańskiego; prof. Eustachy Krach – historyk. Spokojny autorytet; ks. Marian Walczak – prefekt. Uczył religii i w niższych klasach języka polskiego. Błyskotliwy i trochę przewrotny. Z uwagi na jego przyszyżoną fryzurę z małym kosmykiem, nazwaliśmy go „Pędzel”. Uszedł polującym na niego Niemcom, dostał się do Watykanu, gdzie już po wojnie pozostał.

Szefował temu licznemu gronu, bo nie wszystkich profesorów wymieniałem, poważny i rzekłbym groźny dyrektor Józef Dutkowski, filolog klasyczny, zwany przez brać uczniowską „REX”. Budził respekt swym stanowczym reżimem szkolnym. Pewnie wiedział co robi, bo ancymony z nas były nieliczne, a szkoła kształciła bardzo dużo uczniów. Trójka jego dzieci chodziła do naszej szkoły: Jan, Ryszard, i Krystyna Dutowscy. Jaś i Rysiek chodzili do klas starszych, a Krysia była moją koleżanką klasową. Oczywiście w naszej wielkopolskiej specyfice językowej nie byli to Jaś, Rysiek i Krysia, lecz Jachu, Rychu i Krycha.

Z obowiązku kronikarskiego wspomnę, że nie wiele brakowało a zostałbym po wojnie zięciem owego groźnego „Rexa”, jako że z tą jego córką Krychą wodziłem się dość poważnie w latach studenckich. Ale sprawa się rozwiązała, bo Krysia studiowała i mieszkała w Poznaniu a Jagódka we Wrocławiu. O czym tu więcej gadać!

Po wojnie do normalnej szkoły średniej już nie wróciłem. Nasze roczniki były opóźnione przez brak nauki za czasów okupacji, nie wszyscy mieli możliwość tajnej nauki na tzw. kompletach, wielu zestanych zostało do pracy przymusowej w Rzeszy. Każdy po wojnie próbował jakoś w skróconym czasie nadgonić stracone lata, a władze szkolne temu życzliwie patronowały, starając się jednocześnie utrzymać możliwie wysoki poziom nauczania. Chodziło o szybkie otrzymanie matury, by móc studiować, bo wiek był po temu, a braki wykształconych ludzi ogromne.

Wspominając te szkolne lata zdaję sobie sprawę, jak to już dawno temu, a jak sercu bliskie.

BLISCY KOLEDZY

Miałem w moim rodzinnym mieście oczywiście paczkę przyjaciół i kolegów. Do najwierniejszych należał Antoni Frącek, trochę starszy ode mnie. Nie chodziliśmy nawet do jednej klasy. To był powiernik i kumpel. Pochodził z biednej rodziny i trochę dziwiono się (nie moi rodzice, oni nigdy nie narzucali mi towarzystwa), że się z nim przyjaźnię. Po moim pójściu do gimnazjum nasze wieloletnie, bliskie więzi trochę się rozluźniły. Bardzo wcześnie po wejściu Niemców, został aresztowany i większą część wojny spędził w obozach koncentracyjnych. Te ciężkie przeżycia zwichrowały jakoś jego młode życie, bo chociaż szczęśliwie przeżył katownie gestapowskie, wróciwszy do kraju już się do unormowanego życia nie wdrożył. Jak słyszałem, w burzliwy sposób zmieniał miejsca pracy i pobytu. Miał konflikty z prawem. Odwiedził nas po wielu latach kiedyś na Sudeckiej we Wrocławiu. Spotkanie było serdeczne, lecz upływ czasu i długi brak kontaktu zrobiły swoje. Nie mieliśmy już, prócz wspomnień, wspólnych tematów. Smutne, ale tak to już bywa!

Inny kolega i kumpel, zarówno w szkole powszechnej jak i we wspólnej klasie gimnazjalnej, to Jerzyk Ledzian. Ledzianowie zostali wysiedleni ze Zbąszynia w 1939 r. do GG. Wrócili po wojnie na stare śmiecie. Jerzyk wstąpił do Służby Bezpieczeństwa, źle się kolegom przysłużył i pijąc tego zmarł w młodym wieku.

Rajmund Schwartz, kolega i przyjaciel z lat szkolnych, poległ w II Wojnie Światowej we Włoszech.

Romek Szalamacha, bliski kumpel i towarzysz zabaw w wieku chłopięcym. Wyjechał przed wybuchem wojny ze Zbąszynia do Częstochowy. W czasie wojny odzywał się listownie to z Warszawy to znów z Wiednia. Nie wiem co robił. Spotkaliśmy się kiedyś we Wrocławiu na dworcu, skąd dzwonił do mnie prosząc o przybycie. Czekał na pociąg i pogadaliśmy trochę. Wspomnienia i nic więcej.

Witek Ferfet, syn burmistrza Zbąszynia, kolega ze szkoły powszechnej. Mądry chłopak, rozpoczął w czasie okupacji studia prawnicze na tajnym uniwersytecie warszawskim. Skończył je tuż po wojnie w Poznaniu. Został dobrym adwokatem. Żył i pracował przez kilka lat we Wrocławiu, był nawet jako radca prawny moim szefem w Dyrekcji Stoczni Rzecznych we Wrocławiu w latach 1950 – 51. Bywał w naszym domu na Książu Małym. Przeniósł się do Warszawy, gdzie zmarł w latach 80. Kontakty nasze stały się zupełnie przypadkowe.

Jurek Eckert, bliski przyjaciel z lat przedszkolnych i szkolnych. Zmarł jako absolwent Wydziału Stomatologii Wrocławskiej Akademii Medycznej i wielu, wielu innych, których pamiętam, a niektórych zapomniałem.

O WUJU KRYZANIE

[...] Wujka Edmunda Kryzana, lekarza osiadłego w Zbąszyniu, jeszcze za pruskich czasów oczywiście nie znałem. Zmarł na 11 lat przed moim urodzeniem (w1912 r.) młodo, bo miał 41 lat. Wokół śmierci tego wujka roztaczała się jakaś

tajemnica rodzinna.

Edmund Kryzan



Moja babcia, a jego siostra, wspominała go zawsze z nabożeństwem, wzdychając jednak przy tym tragicznie. Nigdy nie dowiedziałem się o co chodziło, a dopytywać się nie wypadało. Samobójcą chyba nie był, bo pochowany został na zbąszyńskim cmentarzu parafialnym, gdzie do dziś trwa jego solidny grobowiec. Babcia wspominała, że wuj Edmund nie miał ochoty napisać doktoratu z medycyny, bo twierdził, iż do dobrego leczenia nie potrzebny jest doktorat. Może miał rację? Niech spoczywa w spokoju.

Wuj Edmund ukończył medycynę na Uniwersytecie Wrocławskim. W moich zbiorach rodzinnych zachował się jego dyplom lekarski, przekazany mi przed laty przez jego brata Antoniego.[...]

JESZCZE TROCHĘ O ZBĄSZYNIU

Żyjąc w Zbąszyniu, obcowało się na co dzień z pięknym, otaczającym miasto krajobrazem. W samym mieście zabytkowy i nastrojowy park, pozostałość po zamku. Leniwa i zarośnięta szuwarami i trzcinami Obra, okalająca miasto. No i to wielkie jezioro, nad którym spędzaliśmy wszystkie „kąpielowe” miesiące. Zimą skute ogromnym, niebywale grubym, gładkim i przejrzystym jak szkło lodem.

Kiedy tylko było można, łap za łyżwy i jazda na jezioro i na ślizgawkę w wielkim stylu! Porobiliśmy sobie niewielkie żagliki do trzymania w ręku. Pracowicie parliśmy pod świszczący nad jeziorem, mroźny wiatr, niekiedy dwa, trzy kilometry, by potem wystawiwszy żagielek (a kto nie miał, rozpiął kurtkę) popędzić z dużą szybkością ku „ojczystym brzegom”. Nie przypominam sobie, by rodzice (głównie chyba mama) byli przesadnie uczuleni na niebezpieczeństwa tych letnio – zimowych jeziornych sportów. Nie pamiętam też, by za moich czasów zdarzyły się jakieś utonięcia w wodach otaczających miasto. Na pewno takie wydarzenia były by w tak małej społeczności szeroko komentowane. Myślę, że po prostu mieszkańcy miasta przyjmowali te wody jak coś najnormalniej istniejącego, ale wymagającego poważnego traktowania i czujności, zarówno ze strony dorosłych jak i młodych. Wychowałem się nad wodą i na wodzie. Rowerem, w ciągu kwadransa, docierało się do okalających miasto wsi, lasów,

zagajników i różnych pociągających miejsc. W takich miasteczkach czuje się bezpośrednio sąsiedztwo pól, łąk i lasów. Korzystaliśmy z tego. W czasie wakacji, kiedy nie przebywałem w Sokołowie czy gdzie indziej, wolny czas spędzałem w domu, nie nudząc się nigdy.